

Tworzymy nową



KASIA CHMURA-CEGIELKOWSKA

**Andrzej Konopka
jako Burdeltata
w Pożarze w Burdelu**

Ci, którzy nie chodzą do kościoła, też czują potrzebę wysłuchania paru słów o tym, jak żyć. I my wychodzimy naprzeciw.

Mówimy: chodźcie do nas, mamy kościół hipstersko-reformowany!

WITOLD MROZEK: Czy arcybiskup Hoser już odwiedził księdza Marka, duszpasterza warszawskich hipsterów?

ANDRZEJ KONOPKA, KS. MAREK Z KABARETU POŻAR W BURDELU: Jeszcze nie, ale mamy takie marzenie, by go zaprosić. Podobno mieszka po sąsiedzku.

A współbracia w kapłaństwie?

- Nie widziałem. Natomiast na Facebooku polubił nas ks. Andrzej Luter

[warszawski duszpasterz środowisk twórczych].

Jak aktor Andrzej Konopka został księdzem Markiem?

- Kazania zacząłem mówić, jeszcze kiedy Pożar... grał w klubie Chłodna 25, choć nie w pierwszych odcinkach. Twórcy kabaretu Michał Walczak i Maciej Łubieński szukali postaci, które wzbogaciłyby nasz burdelowy kosmos. Wiedzieli, że jestem z małej miejscowości i Kościół mam w genach. Znam ten zaśpiew, ten ton, sposób przemawiania, straszenia i nagradzania. No więc napisali mi kazanie i to zażarło. Kiedy otworzyliśmy nasz lokal na Pradze, Dziką Stronę Wisły, chcieliśmy, by było to miejsce otwarte na różne eksperymenty. Walczak i Łubieński pisali już wcześniej różne stand-upy i one-man-showy. Wpadli więc na pomysł, że postaci z Pożaru... mogą mieć tam swoje własne miejsce, swoje 10 minut.

Ładne dziesięć minut... Show księdza Marka trwa półtorej godziny!

- Trochę się to rozrosło. Jest więc ksiądz Marek, będzie Janusz Fak, czy-

li burdelowy psychiatra. Będą też koncertować dziewczyny z zespołu Żelazne Waginy.

Dużo z pana w księdzu Marku?

- Sprzedaję pewien sposób dotarcia do wiernych. Ostatnio przeczytałem, że intelekt często wyprzedza mentalność. Choć staramy się być tymi Europejczykami, uczymy się języków, jeździmy na zagraniczne wakacje, to nasza mentalność zmienia się trochę wolniej. To trochę zabawne, a trochę przerażające, ale większość ludzi w Polsce już tak ma, że jak ktoś do nich mówi kapłańskim tonem, i to jeszcze przez mikrofon, to oni stają na baczność.

Na scenie to też działa?

- Na początku opieprzam ludzi, by trochę zbić ich z tropu. O, przyszlście na katolicki stand-up, by kpić z wiary, by mieć bekę z Kościoła! Na premierze poczułem, że niektórzy widzowie naprawdę zapadali się w sobie. Pomyślałem: Boże, co ja z tym teraz zrobię, przed nami jeszcze godzina dziesięć minut przedstawienia! To właśnie wykorzystuję: umiem tak krzyknąć, by po-

polską mitologię

działało. Przenoszę na scenę te socjotechniki, których sam doświadczałem w Kościele przez ileś tam lat.

Zdarza się panu słuchać kazań?

- Oczywiście!

Pojawiają się protesty oburzonych widzów?

- Podczas spektakli raczej nie. Ale odkąd ksiądz Marek ma profil na Facebooku i co tydzień publikuje kazanie na YouTube, zaczynają się pojawiać nieprzyjazne komentarze. Temat jest nośny. Sam Kościół, nawet nie wiara, ale Kościół i postać księdza - to jest interesujące i ekscytujące. Ludzie słuchają, czasem podejmują dyskusję - zależy, jaka jest publika. Niektórzy naprawdę chcą jakiegoś namysłu.

Tęsknią za przytulną, ludzką parafią, która materializuje im się w teatralnej salce na Pradze?

- Trochę drwimy z tych ludzi, „z Wilanowa”, tych, którzy przyjechali do Warszawy i tu awansowali. Ale myślę, że ci, którzy nie chodzą do kościoła, też czują potrzebę wysłuchania co tydzień paru słów o tym, jak żyć. I my wychodzimy naprzeciw tym potrzebom. Mówimy: chodźcie do nas, mamy kościół hipstersko-reformowany!

Dlaczego ksiądz Marek został akurat duszpasterzem hipsterów? Nie lemingów, nie warszawiaków, nie słowików?

- To było zabawne: wyobrazić sobie, że mógłby być to taki ksiądz, który jakoś urwał się z Kościoła katolickiego i zaczął być bliżej ludzi, lepiej do nich dociera. Albo że on sam przechodzi załamania i nawrócenia. Zastanawialiśmy się, co by było, jakby takiego księdza wpuścić na przykład na plac Zbawiciela. Jakby to działało?

Zna pan osobiście jakichś księży: obecnych albo byłych? Oczywiście poza ks. Lutrem.

- Osobiście chyba nie.

Ja paru znam. Dużo rzeczy dobrze pan wyczuł: to pragnienie bycia „normalnym”, wpasowania się w życie klasy średniej, bycia fajnym kumplem. W Pożarze... jest pan od początku?

- Od pierwszego odcinka, a nie wystąpiłem tylko w jednym. Zastanawialiśmy się, co by było, gdyby w Pożarze... zabrakło Burdeltaty [Andrzej Konopka też gra tę postać]. Władzę przejął wtedy prawicowy tyran Zdzisław.

Jak przez ten czas zmieniło się pana życie jako aktora?

- Na początku to była po prostu towarzyska przygoda. Zawodowa też, ale przede wszystkim towarzyska, bo jak graliśmy na Chłodnej 25, to w ogóle nie było z tego profitów. Cieszyłem się ze spotkania z Walczakiem i Lubieńskim, z tego że udało się zebrać ludzi z takim poczuciem humoru, z którymi wspólnie spędzam czas. Wtedy, na Chłodnej, graliśmy te pierwsze odcinki Pożaru... po cztery razy. Najnowszy, już trzydziesty, będziemy grać jakieś trzydzieści razy.

Zostaje panu czas na granie u żony?

- Aaa, to tylko jeden film, żona dużo nie kręci. Na razie (*śmiech*).

„Córki dancingu” Agnieszki Smoczyńskiej były głośnym debiutem fabularnym, więc stał się pan niedawno mężem znanej reżyserki. Mówi pan o tym w stand-upie.

- Najpierw miał to być po prostu katolicki stand-up i ksiądz Marek. Ale tak wyszło na próbach, że ostatecznie jest tam też sporo o mnie. O aktorze, który kiedyś został ukąszony pragnieniem występu, bo widział, jak ksiądz występuje na kazaniu doprowadza ludzi do lez. Który słuchał do znudzenia kabaretu Pod Egidą nagranych na kasecie. No i tak się stało, że teraz ma tę rolę w kabarecie, dużo ludzi poklepuje go po ple-



Opieprzam ludzi:

O, przyszłście na katolicki stand-up, by kpić z wiary, by mieć bekę z Kościoła!

cach i jest przez to znany, a z drugiej strony ma świadomość zawodowego niebezpieczeństwa. Zaraz może się tak stać, że będę miał sześćdziesiąt lat i ciągle będę grał Burdeltatę.

Czyli kiedy w spektaklu mowa była o tym lęku, to było to na serio?

- Tak...

Robi pan sporo fajnych rzeczy: rola w „Córkach dancingu”, ale też np. w „Czerwonym pajaku”.

- To taka mała rola. Ale na pewno jedno za drugim idzie. Na Pożar... przychodzi dużo ludzi związanych z branżą, reżyserzy, ludzie od castingów itd. Nagle zobaczyli, że jest ktoś taki jak ja, i zacząłem dostawać propozycje. Żona oczywiście wcześniej wiedziała, że ktoś taki jest.

Chciałby pan wrócić na scenę „prawdziwego”, instytucjonalnego teatru?

- Mam taki problem, że noszę w sobie mocnego ducha niezależności. Byłem oczywiście parę razy na etacie w teatrze. Najszczęśliwszym takim czasem dla mnie było, zawsze o tym wspominałem, parę lat w Teatrze Nowym w Łodzi z dyrektorem Mikołajem Grabowskim. To był taki pobyt w teatrze, który mnie uformował i stanowi punkt odniesienia. Ale zawsze drażniło mnie malkontenctwo w zespołach aktorskich. Że się siedzi w bufecie i narzeka na dyrektora - że za mało się gra, że co to za reżyserzy przychodzą. Poza tym - pieniądze. To też mnie zawsze denerwowało. Że jak jestem w teatrze, to zarabiam nie za duże pieniądze, ale i tak muszę wszystko z tym teatrem uzgadniać. Jak dostaję rolę w filmie czy w serialu, muszę iść i prosić panią Jadzię z sekretariatu, żeby próby były tak ustawione, bym mógł zagrać.

Dziś żyje pan z Pożaru...?

- To są coraz lepsze pieniądze, ale nie mógłbym żyć tylko z Pożaru.... Poprzedni rok był bardzo dobry: zagrałem w kilku filmach, które jesienią i zimą będą wchodzić do kin. Więc trochę żyję z Pożaru, a trochę z tych filmowych oszczędności.

Publiczność w Dzikiej Stronie Wisły różni się od tej, która chodzi na klasyczny Pożar...?

- Na Chłodnej, u Grzegorza Lewandowskiego, zaczęło się wiele rzeczy: pierwsze kroki stawiał tam Teatr Improvizowany „Klancyk”, tam też grał Marcin Masecki. To było hipsterskie miejsce, dlatego ksiądz Marek został duszpasterzem hipsterów. Hipsterzy to ci tak do trzydziestki na karku, kto młodziej wygląda - to może mieć i trzydzieści pięć lat. Poza tym wiadomo: ciuchy, sposób zachowania, styl życia. Z czasem się okazało, że zaczęli przychodzić na nas ludzie starsi. Oka-

Andrzej Konopka

Ur. 1969 r. w Wyśmierzicach (powiat białobrzezski). W kluboteatrze Dziką Stroną Wisły przy pl. Hallera mówi kazania w katolickim stand-upie „Duszpasterz hipsterów”. Jako ks. Marek i Burdeltata, mistrz ceremonii i lider trupy, jest jedną z twarzy kultowego kabaretu Pożar w Burdelu. Był aktorem m.in. Teatru Słowackiego w Krakowie i Teatru Nowego w Łodzi. Przed studiami na krakowskiej szkole teatralnej pracował jako nauczyciel wu efu. Prywatnie mąż reżyserki Agnieszki Smoczyńskiej-Konopki.

zuje się - według naszego rozeznania - że widzowie 60+ strasznie potrzebują rozrywki takiej bardziej... ryzykownej. Ambitnej. Lepszej niż to, co dawała im TVP 2 w kabaretach. To ich nie zadowala. Zdaje się, że w Warszawie czegoś takiego nie było. Jest teatr Krystyny Jandy, który ściąga sztuki z Londynu, to jest świeże, ale nie ma w tym jakiegoś ryzyka, swojskości, jest za to mocna teatralna rama. A teraz przychodzą do nas całe rodziny. Starsi prowadzą swoje dorosłe dzieci.

Burdel łączy pokolenia?

- Tak! (*śmiech*) My też się zmieniamy, podobnie jak nasze ambicje. Chcemy być instytucją, która opowiada o najnowszej historii tego kraju. Chcemy tworzyć nową polską mitologię.

Już nie tylko warszawską? Zaczynaliście od bardzo lokalnych wątków.

- Nie tylko warszawską. Z odcinkiem pt. „Herosi transformacji” byliśmy ostatnio w Legnicy. Były owacje na stojąco - wiadomo, że to zawsze podejrzana sytuacja, ale przedstawienie zadziałało. Chcemy iść w uniwersalizację, a nie mówić tylko o warszawiakach. Trochę szkoda tej lokalności, ale coś za coś. ●

ROZMAWIAŁ WITOLD MROZEK